

## Prolog

*Powinnam była zawczasu pomyśleć, czy gra jest warta świeczki. Ktoś mądry powiedział mi kiedyś, że należy to zrobić, zanim zacznie się o cokolwiek walczyć, za czymkolwiek gonić, po cokolwiek biec. Rozważyłam co prawda wszystkie za i przeciw, każdy plus i minus, przynajmniej tak mi się początkowo wydawało, ale doszłam do wniosku, że dobre strony przedsięwzięcia przewyższają te negatywne. Te, przez które człowiek budzi się w środku nocy zlany zimnym potem.*

*Szłam pewnego zimowego poranka, który według kalendarza powinien być jeszcze jesiennym porankiem, przez opustoszałe ulice zaśmiezonego miasta. Ludzie, którzy musieli być w pracy, już tam byli, a ci, co nie musieli, woleli zostać i popijać w domu herbatę. Tak przynajmniej ja bym zrobiła. Zostałabym w domu pod kocem lub pod grubą pierzyną. Po ulicy snuły się jedynie same niedobitki, nie bardzo wiedząc, co ze sobą począć. Byli to ludzie, którzy pracować już nie musieli, ludzie, którym do pracy nie było spieszno, bumelanci lub nastolatki, które uciekły z lekcji.*

*Odgłos obcasów odbijał się od wysokich ścian budynków wyrastających z obu stron małej uliczki niczym stukot podków konia leniwie przechadzającego się po bruku.*

*Moje buty były doskonałym przewodnikiem okrutnego*

*zimna, gdyż u celu mej wycieczki prawie nie czułam stóp. Wyobrażając sobie, że robią się one od spodu sine, gdyż nie dopływa tam krew, z każdym krokiem coraz bardziej było mi wszystko jedno, czy mi się uda, czy też nie. Nie znaczy to wcale, że nie byłam zdenerwowana. Oczywiście, że byłam. Moje myśli, chociaż tymczasowo skoncentrowały się na tym, by mózg przesłał trochę ciepła w stronę zmarzniętych, sinych już od zimna palców, na dłuższą metę krążyły jedynie wokół rozmowy kwalifikacyjnej, którą miałam odbyć.*

*Choć weszłam do budynku przemarznięta do szpiku kości, otworzyłam usta oszołomiona i nagle wszystko przestało się liczyć: zima, zmarznięte stopy, brak słońca, brak pracy i wynikająca z tego braku postępująca depresja. Przez chwilę cieszyłam się widokiem ogromnych kryształowych żyrandoli zwisających z sufitu niczym stalaktyty w jaskiniach. Na marmurowej posadzce w kolorze kości słoniowej z powodzeniem można byłoby tańczyć walca. Na środku stał wielki porcelanowy wazon, zdobiony w bordowe kwiaty, z którego w całym holu unosiła się woń świeżych lilii i hiacyntów. Weszłam na pierwsze piętro i z duszą na ramieniu zapukałam do drzwi numer sto pięć. Otworzyła mi młodziutka dziewczyna. Musiałam przerwać jakąś interesującą rozmowę, gdyż kobieta niemal płakała ze śmiechu. Jej humor dodał mi otuchy, jednak pytające spojrzenie wyrównało otuchę do poprzedniego poziomu. „Tylko się nie denerwuj — powiedziałam sobie w duchu — bo ludzie to wyczuwają. Weź głęboki oddech i przekonaj ich, że to ty jesteś najlepszym kandydatem na wszystkie stanowiska istniejące w tej firmie. Przekonaj ich nawet, że ziemia jest płaska, możesz to zrobić. Świat jest twój”. Te psychologiczne*

*brednie, które wypowiadałam, by przekonać podświadomość, że mogę wszystko, sprawiły przynajmniej, że poczułam się lepiej z samą sobą. Nabrałam pewności, że dam sobie radę. Wszak świat się nie kończy na tej jednej posadzce, a ja przecież nie jestem zdesperowana.*

*Kiedyś, starając się o pracę na stanowisku, na które się nie nadawałam, kobieta zapytała mnie: „Jak bardzo, w skali od jednego do dziesięciu, chciałaby pani u nas pracować?”. Odpowiedziałam, że dziewięć. Ona na to, odbijając pileczkę, dlaczego nie dziesięć. A ja, że desperacja jest pierwszym krokiem do szaleństwa.*

*— Dzień dobry — powiedziała dziewczyna. Zapraszając mnie do środka, zawałała się chwilę. Nie wiedziała, kim jestem ani do którego biura ma mnie skierować.*

*— Dzień dobry. Nazywam się Waleria Ross. Przyszłam na rozmowę z panią Adamczyk w sprawie pracy.*

*— A tak, witam. Zapraszam — wskazała mi pokój i poprosiła, bym usiadła. — To chwilę potrwa, pani dyrektor zaraz przyjdzie. — Odchodząc, uśmiechnęła się serdecznie, dając mi znać, że nie ma powodu, by moje zdenerwowanie trwało nadal.*

*Rozejrzałam się po pustym biurze. Białe ściany i nadgryziona zębem czasu granatowa wykładzina na podłodze. Profesjonalne, bezpłatowe biuro, jakich miliony. Tablica korkowa zaśmiecona notatkami napisanymi niedbałym piśmem na kwadratowych, różnokolorowych karteczkach, opatrzonymi datami deadline'ów i wykrzyknikami. U samej góry zdjęcia dzieci i kilka pocztówek z egzotycznych krajów. Na biurku komputer.*

*Porozrzucane papiery, teczki, skoroszyty i przybory do pracy. Być może miała zbyt dużo obowiązków, być może lubiła artystyczny nieład. A być może tylko tak potrafiła pracować.*

*Po kilkunastu minutach skupiania się na tym, by nie obgryzać z nerwów suchych skórek przy paznokciach, wciąż byłam sama. Siedziałam na niewygodnym krześle, obok stał szklany stolik, z którego najprawdopodobniej niewygodnie było pić kawę. Czulałam, jakbym przygotowywała się na przesłuchanie. Właściwie to tak było. Brakowało tylko lampki, której światło można by skierować mi w oczy, bym wszystko wyśpięwała. Zawsze zastanawiało mnie to, że na stronach internetowych wielkich firm znajduje się szczegółowo opisany proces rekrutacji. Najpierw jest test pisemny. Przypomina trochę test na inteligencję, zawiera różne diagramy, pytania numeryczne lub werbalne. Sprawdza się w ten sposób biegłość w mnożeniu, dzieleniu i dodawaniu, umiejętność wybierania podobnych kształtów, które dopełniają całość, a także zdolność wnioskowania i logicznego rozumowania. Dodatkowo testy mają obostrzenia czasowe, by kandydat udowodnił, że nie dość, że potrafi rozwiązać test, to jeszcze umie rozplanować czas, by odpowiedzieć na każde pytanie. Ponoć mały odsetek potencjalnych pracowników dociera do końca testu przed końcem czasu. Następnym etapem jest rozmowa kwalifikacyjna, na której trzeba się sprzedać. Padają pytania dotyczące doświadczenia, edukacji, wybitnych osiągnięć w życiu zawodowym. Rozmowa kwalifikacyjna jest jak ping-pong — albo nauczysz się szybko odbijać piłeczkę, albo już po tobie. Są jeszcze inne metody — na przykład wywiad panelowy oraz stresujący jak diabli assessment center.*

*Z sąsiedniego biura docierały do mnie strzępki rozmowy.*

*Uczestniczyła w niej na pewno młoda kobieta, która mnie powitała. „A słyszałaś, jak on powiedział...”, „Słuchaj, ale ona poszła i powiedziała, że nie będzie tak dalej...”, „Dzisiaj rano miał chyba dobry humor, bo...” i tak w nieskończoność. Wszystko byłoby super, gdybym miała już tę pracę i siedziała razem z nimi, popijając herbatę i śmiejąc się do rozpuku z jakiegoś bezrozumnego pracownika. Jednak w obecnych warunkach sytuacja była tak stresująca, że mój organizm zaczął zasilać tylko organy potrzebne do przeżycia. Wreszcie rozmowy ucichły, a ja wzięłam głęboki oddech i wiedziałam, że cel mojej podróży do tego miejsca za chwilę będzie osiągnięty.*

*— Witam — powiedziała kobieta, uśmiechając się. — Adamczyk. — Miała około czterdziestu lat, była wysoka, wyprostowana niczym struna, a na sobie miała źle dopasowany prążkowany garnitur. Od jej uśmiechu dostałam gęsiej skórki. Był miły, ja jednak zobaczyłam w niej szefową, która dołoży wszelkich starań, by z jakichś przyczyn mnie nie zatrudniono.*

*— Dzień dobry, Waleria Ross. — Zupełnie nie wiem, dlaczego tak się działo, ale zimny pot spływał mi po kręgosłupie. W duchu prosiłam, by to wszystko się jak najszybciej skończyło.*

*Rozmowa została przeprowadzona bardzo profesjonalnie, jak na moje mniemanie, które było tylko i wyłącznie mniemaniem. Kim w końcu jestem, by oceniać profesjonalizm dyrektorów do spraw personalnych? Zawsze zastanawiałam się, na jakiej podstawie wybiera się zagadnienia i czy uczą tego w jakiejś specjalnej szkole. Kobieta chciała wiedzieć to, o co z reguły pytano mnie wcześniej. Poprosiła mnie na przykład, bym opowiedziała coś o sobie. Jakże pozbawiona sensu jest ta proś-*

ba? Co powinno się powiedzieć? „Jestem Waleria, mam prawie trzydzieści lat i moją pasją jest brak pasji. Lubię koty, bo koty są fajne. Ale nie mam żadnego w domu, bo jestem uczulona na ich sierść. Lubię też spać i, siedząc wieczorami pod kocem, słuchać melancholijnej muzyki”. Zabrzmiałyby to cokolwiek dziwnie. Nie pytała, czy jestem uzależniona od jakichś leków, nie pytała też, czy mam dzieci albo czy jestem lesbijką. Nie pytała również, czy chodzę regularnie do kościoła ani czy potrafię znaleźć jakieś alternatywne zastosowanie dla widelca. Nigdy nie używałam widelca do czynności innej niż jedzenie, ale jestem sobie w stanie wyobrazić, że można to zrobić. Na przykład widelec mógłby posłużyć do podrapania się po plecach w przypadku braku profesjonalnej plecowej drapaczki. ŚmieJCie się, ale takie pytania wciąż się zadaje.

Poza tym pracodawcy może się wydawać, że chcę się u niego zatrudnić tylko dlatego, że planuję niebawem zajść w ciążę. Nie chcę na razie rodzić dzieci, ale pracodawca o tym nie wie. A nie powiem przecież w trakcie opowiadania o sobie: „Wie pani, ja rozumiem, że firma się martwi, że za niedługo zajdę w ciążę, zostaniecie znowu z wakatem i będziecie nieszczęśliwi, ale proszę się nie przejmować, ja nie z tych. Nie chcę dzieci. Nigdy, a przynajmniej na razie”.

Chciałam złapać jakiś kontakt, porozmawiać beztrąsko przez chwilę o czymś niezwiązanym z pracą. Przecież czasami rozmowy tak wyglądają. Ale z drugiej strony po luźniej pogawędce nigdy nie zaproponowano mi pracy. Ostatecznie nie złapałam kontaktu z panią Adamczyk. Być może byłam zbyt zdenerwowana, być może zaczęłam sobie wyobrażać ją

*jako wielkiego wilka, który zaraz mnie pochłonie na drugie śniadanie.*

*Powiedziała, że zadzwoni, jak tylko podejmie decyzję, co nie wywołało we mnie euforii, ale nie wywołało też smutku. Poczekam. Poczekam tak, jak czekają dziesiątki tysięcy ludzi mających nadzieję, że ta superpraca, o którą się starają (i są już prawie u celu), odmieni ich życie.*

*Wracając do domu, wstąpiłam do kawiarni, by napić się czegoś ciepłego. Powinnam już odzyskać czucie w palcach, jednak przez to zdenerwowanie krążenie wciąż skutecznie omijało stopy. Miałam ochotę na gorącą czekoladę z mnóstwem bitej śmietany i sernik waniliowy polany karmelem. Jako kobieta, wciąż tylko kobieta, u której gdzieś w podświadomości tkwi ostrzeżenie: „Uważaj na szerokość bioder!”, zamówiłam aromatyczną kawę z odtuszczonym mlekiem, dosypałam cynamonu, wanilii i usiadłam przy oknie. Patrzyłam na spieszących się w sobie tylko znanym kierunku ludzi. Nie rozglądali się, nie zważali na nic, myśleli tylko o własnych zmartwie- niach. Anonimowi przechodnie, nieuśmiechający się przecięt- ni ludzie bez twarzy i bez imion. Wyobrażałam sobie, o czym mogą myśleć...*

*„Włożyć czerwoną bieliznę czy fioletową?”*

*„Czy to spotkanie zostało przełożone na jutro? Chyba nie zostało. Jak to możliwe, żebym się pomylił? Boże, ratuj!”*

*„Nie zdążę, błagam, niech zatrzyma się jakaś taksówka, nie zdążę. Błagam!”*

*„Powiedziała, że zadzwoni rano. Dlaczego jeszcze się nie odezwała? Może coś się stało? Może ja zadzwonię? Nie, nie*

*będę się narzucać, pomyśli jeszcze, że bardzo mi się podoba. Podoba mi się, ale może lepiej, żeby o tym nie wiedziała”.*

*„Jestem w ciąży, mój Boże, to przecież niemożliwe. To niemożliwe, niemożliwe. I co ja mu teraz powiem? Jak ja mu to wytłumaczę? Przecież nie było go cały miesiąc. Nie wytłumaczę mu”.*

*A ja... siedziałam, uśmiechałam się do nich, ale oni mnie nie widzieli. Nie dostrzegali zewnętrznego świata. I myślałam o tym, jak dobrze byłoby mieć pracę, którą by się kochało.*

*By wstać codziennie rano z przeświadczeniem, że nie będzie to kolejny zwykły dzień, ale że dziś zrobię coś specjalnego, coś magicznego. Że coś osiągnę. Że każda minuta przybliżająca mnie do końca projektu będzie kolejną minutą sukcesu. Wstawałabym z przeświadczeniem, że idę do pracy, którą sama sobie wybrałam, metodycznie i nie pod wpływem impulsu, z miłości do produktu czy usługi, że idę do pracy, którą lubię i z którą z własnej nieprzymuszonej woli wiązę swoją przyszłość.*

*Wstawałabym codziennie rano z uśmiechem na twarzy...*